

L. de Laëre.

## Tajemnica „Czerwonego Stawu“.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

12

(Dokończenie).

— Ciagle jeszcze jest słaba, jednakże lekarz, który ją codziennie odwiedza, ma nadzieję, że wkrótce powróci zupełnie do zdrowia.

— A Piotr?

— Piotr jest zdrowy, ma dzisiaj przepędzić z nami ten dzień. Zaczyna pani Verdier, chcąc mi zrobić przyjemność, zaprosiła go do siebie. Ma przybyć pociągiem o wpół do dwunastej. Jakaż radość sprawi mu twój widok, ojczu.

Henryeta nagle umilkła. Teraz dopiero spostrzegła głęboką zmianę w twarzy starca. Po twarzy jej przebiegł cień smutku.

— Biedny ojczu, ile ty wycierpieć musiałeś? — szepnęła.

— Zestarzałem się, nieprawdaż, moje biedne dziecko?

Dwie duże łzy potoczyły się po twarzy młodej dziewczyny. W tej samej chwili kobieta w podeszłych już latach, lecz jeszcze bardzo piękna, wyszła z domu. Dostrzegła rozmawiających i przyjazny uśmiech zajaśniał na jej twarzy. Chciała się oddalić niepostrzeżenie, lecz szelest jej kroków zwrócił uwagę starego ogrodnika.

— Henryetto, zdaje mi się, że to twoja pani idzie — rzekł powstając i kłaniając się z uszanowaniem nowoprzybyłej.

— Witam pana, panie Gibier — rzekła pani Verdier, podając życzliwie rękę starcowi. Wiem od Henryetty o ciężkich przejściach, jakie pana dotknęły w tym czasie. Niech się pan uważa u mnie za domownika i wierzy, że wszyscy starać się będziemy, abyś pan zapomniał prędko o tych smutnych dniach, przeżytych zdala od swojej córki. Jest zaledwie ósma godzina i zapewne nie jadłeś pan jeszcze śniadania — ciągnęła dalej gospodyni domu. Henryetto, zaprowadź ojca do jadalnego pokoju, ja tam przybędę za chwilę.

Mówiąc to pani Verdier oddaliła się, posyłając swojemu nowemu gościowi życzliwe spojrzenie.

Około dwunastej przybył Piotr Ducret. Został on wcześniej już uwiadomiony przez swojego przyjaciela Rajmunda Valet o uwolnieniu starego Klemensa. Przywitanie starca z młodym mechanikiem było bardzo serdeczne. Narzeczony Henryetty żywił dla starego Klemensa Gibier prawdziwe synowskie przywiązanie i od dnia jego nieszczęśliwego aresztowania, wierzył gorąco w jego niewinność.

— Jakże się ma moja matka? — zapytał Piotr Ducret po pierwszych wynurzeniach!

— Lepiej — odpowiedziała pani Verdier — lecz lekarz obawia się dla niej wrażenia, jakie na niej może wywołać widok ojca Henryetty. W obecnym stanie jej zdrowia, każde wzruszenie jest dla niej szkodliwe. Trzeba poczekać na polepszenie.

— Ale ja mogę ją iść uściskać? — spytał Piotr.

— Zaczekaj trochę moje dziecko, matka twoja przed chwilą zasnęła.

— Pani coś ukrywa przedemną — zawołał młody człowiek, przejęty nagłym lękiem.

— Co znowu Piotr — odpowiedziała pani Verdier. Skądże znowu te smutne przypuszczenia? Chcę, aby dziś w moim domu każdy czuł się szczęśliwym i wesołym. No, dalej do stołu, musimy uczcić powrót naszego starego przyjaciela.

Dzień cały przeszedł na pufnej, serdecznej rozmowie.

— Mamy zamiar z Henryettą udać się na pasterkę — rzekła pani Verdier, gdy po obiedzie wstano od stołu. Panowie pewnie zechcecie skorzystać z wolności. Idźcie więc, gdzie wam się podoba, lecz przyjdźcie, aby odprowadzić nas z kościoła.

— Proszę liczyć na nas — odrzekł Piotr, zegnając się z paniami.

Około godziny dziewiątej młody mechanik wyszedł w towarzystwie starego Klemensa. Starzec czuł silne pragnienie użycia ruchu i świeżego powietrza.

— W którą stronę udamy się? — spytał Piotr.

— W którą zechcesz. A jeżeli nie masz nic przeciwko temu, możemy dojść aż do Robinson.

Młody człowiek spojrzał bystro na mówiącego.

— Czy w celu spotkania się ze starym Ulma-

nem chcesz tam iść ojczu? — zapytał. Rachunki z nim nie załatwione jeszcze, lecz pozostaw to już mnie.

— Daj spokój mój synu. Nie kalaj rąk dotknięciem tego nędznika. Przekonasz się, że w krótkim czasie będzie on odpowiadał przed sądem za fałszywe zeznania, które poczynił w celu potępienia mnie.

Ruszyli w drogę. Idąc przez Scenx, wstąpili do kawiarni znajdującej się niedaleko dworca kolejowego, gdzie spotkali się ze znajomymi. Jedenasta godzina była, gdy przechodzili koło Białego domku. Stary ogrodnik zadrżał, przechodząc koło tego fatalnego miejsca, gdzie się rozegrał wstrząsający dramat, którego i on niewinnie padł ofiarą. Noc była ciemna, niebo całe zasnuwane ciężkimi, śnieżnymi chmurami, wlokącymi się nisko nad ziemią. W powietrzu rozbrzmiewał dźwięk dzwonów zwiastujących Narodzenie Boga, a dźwięk ten tysiącnie echem rozchodził się wokoło. Przechodząc koło oberży starego Ulmana, Piotr Ducret spostrzegł światło błyszczące w jednym rogu ogrodu niedaleko drogi. W tej samej chwili światło zgąsło. Na tle śniegu odbijała się ciemną plamą chuda, wysoka postać starego Ulmana. Nagle dreszcz wstrząsnął ciałem starego ogrodnika.

— Czy widzisz Piotrze? — zapytał, chwytając towarzysza za rękę.

Przysunęli się jeszcze bliżej do płotu i patrzyli uważnie. Stary oberzysta zajęty był jakąś dziwną i tajemniczą robotą. Z dołu, wykopanego u podnóża wielkiego dębu, wyciągnął spieszenie jakieś przedmioty, których jednak patrzący, z powodu odległości rozpoznać nie mogli. Nagłe podejrzenie przeszło myśl starego ogrodnika.

Chodź — rzekł stanowczym głosem, pociągając młodego człowieka do ogrodu.

Puszasty dywan śniegu tłumiał odgłos kroków; mogli więc niepostrzeżenie podejść do starego oberzysty. Lecz w tejże samej chwili rozległ się głośny śpiew na ulicy; Ulman odwrócił się a oczy jego przyzwyczajone do ciemności, z łatwością dostrzegły cienie, dwóch śledzących go ludzi. Wyprostował się szybko i równocześnie dwa strzały rozdarły powietrze. Śpiew na drodze ucichł natychmiast, lecz w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy okrzyk bólu i rozpaczliwe wołanie:

— Ratunku! ratunku! mordują!

Rozległy się nawoływania, odgłos biegnących ludzi i gromada wieśniaków, która podążała do kościoła. Wtargnęła z okrzykami i przekleństwem do ogródka. Przy świetle latarki, którą niósł jeden z wieśniaków, dostrzeżono dwóch ludzi, walczących wściekle ze sobą, podczas gdy trzeci leżał bezwładnie u ich nóg. Wieśniacy sądzili, że stary Ulman został napadnięty przez jakichś włóczęgów i biegli mu z pomocą, gdy nagle rozległ się donośny głos starego Klemensa Gibier:

— Do mnie! do mnie! na pomoc! to szpieg pruski!...

Po chwili szpiega uwiązano u drzewa i czekano na przybycie żandarmów, po których pobiegł mały Lorient. W oberży na ławie leżał Piotr Ducret raniony jednym strzałem. Obok zaś niego położono trupa wieśniaka, zabitego kulą starego Ulmana.

Wieśniacy w ogrodzie przeszukiwali dół wykopany przez oberzystę. Z pod stosu nagromadzonych książek i zeszytów zapisanych drobnym, niemieckim pismem i fotograficznych zdjęć z okolicy, jeden z wieśniaków wyciągnął długi, zwinięty rulon papieru.

— Plan, plan fortu! — rozległ się groźny okrzyk wokoło.

W rzeczywistości był to plan nowego fortu w Châtillon.

— Na śmierć prusaka! na śmierć zdrajcę! — ryczał rozwścieklony tłum.

Jeden z wieśniaków podszedł do Ulmana, plunął mu w twarz i przeciął nożem sznury krępujące mu ręce.

— Broń się nędzniku, bo cię zabiję!...

Lecz oberzysta nie poruszył się. Pięć wieśniaków, ciężka jak uderzenie maczugi, zwała się z głuchym łoskotem na jego głowę. Nędznik zalany krwią zachwiał się. Wtedy dwadzieścia ramion wyciągnęło się ku niemu, wydzierając go sobie i bijąc; strzępy z ubrania padały wokoło. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, ze zbitej gromadki ludzi wyrwał się Ulman i wyjąc z bólu, skoczył naprzód. Lecz siły go już opuszczały, zatoczył się kilkakrotnie i bijąc rozpaczliwie rękami powietrze, runął

z jękiem na ziemię. W tej samej chwili Klemens Gibier wybiegł z oberży; oczom jego przedstawił się przeraźliwy widok. W śniegu na wpół nagi, leżał oberzysta; z okropnej rany w brzuchu buchała krew wielkimi strugami. Nad konającym stał wysoki wieśniak z widłami w ręce i patrzył przerażonym wzrokiem na swą ofiarę.

## ROZDZIAŁ XXIII.

## Medalion.

Przed więzieniem Roquette liczny tłum, złożony z kobiet, mężczyzn i dzieci, otoczony kordonem żołnierzy i policyantów, oczekiwał niecierpliwie chwili stracenia fałszywego Valbreque, porucznika Stewarda, Pawła Ludwika, dezertera, mordercy pani de Trèves i jej służącej Zaneyty. W tłumie panował ruch nie do opisania. Kobiety o wstrętne wymalowanych oczach, w krzykliwych jedwabnych sukniach znajdowały się tutaj obok starannie zawoalowanych dam z wyższego świata, które przywiodła tu niezdrowa ciekawość i potrzeba sensacyjnych wrażeń. Od czasu do czasu ostry wybuch śmiechu przedarł się ponad tłum i długo drgał w powietrzu. Na tle ciemnej nocy olbrzymią czarną plamą rysowały się mury ponurego więzienia. Niedaleko od kordonu żołnierzy stało dwóch młodych ludzi, był to Gaston Dubler i przyjaciel jego Jerzy Heudes.

— Wierzaj mi, mój przyjacielu — odezwał się Jerzy — ale nie mogę dłużej tu pozostać — widok ten działa na mnie przygnębiająco.

— Ależ nie odchodźże mój drogi, nie, wiedziałem, że jesteś tak wrażliwy. No mój drogi, trochę cierpliwości i odwagi, przecież nie zechcesz mnie tu samego zostawić.

— Nie chciałbym ci zrobić przykrości, ale sam przyznaj, że spokojnie patrzeć nie można na te wstrętne kobiety, oczekujące z gorączkowym zniecierpliwieniem, jak za chwilę tracąc tu będą człowieka.

— A czy myślisz, że mnie ten widok także nie porusza? Ale trudno, jestem dziennikarzem, muszę jutro podać sprawozdanie z tego okropnego widowiska. A wiesz Jerzy, ten, którego tu mają tracić, nie jest zwyczajnym nędznikiem, zamordował z miłości.

— Tak jak ten sławny Antony?

— Tak jest, tak jak Antony; opierała się mu, a on tego znieść nie był w stanie. Doprawdy, człowiek jest dziwnie skomplikowanym stworzeniem. Najuczciwszy z nas nie może twierdzić, czy jutro nie będzie zbrodniarzem.

Młodzi ludzie umilkli nagle, bo właśnie głuchy hałas i pomruk rozległ się od strony więzienia; przy szarem świetle wschodzącego słońca dostrzeżono, jak ciężkie drzwi więzienia otworzyły się wolno i na dziedzińcu ukazał się skazaniec. Głośny okrzyk wybiegł z tłumu, poczem nastąpiło długie przygnębiające milczenie. Steward szedł równym, miarowym krokiem, ręce miał silnie przywiązane do ciała, nogi zaś skute kajdanami; obok niego szedł Jaime, kilku agentów i stary więzienny kapelan. Od czasu do czasu ksiądz, poprzedzający ten ponury orszak, odwracał się, szepcąc skazanemu kilka słów odwagi i pociechy. Siódma godzina właśnie wybiła na zegarze. Pierwszy promień wschodzącego słońca wybiegł z za muru więziennego i oświetlił smutną tę scenę. Tłum poruszając się żywo i wykrzykując, cisnął się do stóp szafotu. Na twarzach wszystkich obecnych widniała podniecona ciekawość, a w błyszczących okrutnem zadowoleniem oczach trudno było odnaleźć ślad wzruszenia, lub litości nad nieszczęśliwym, który za chwilę stać się miał ofiarą sprawiedliwej ludzkiej. Skazaniec, który na razie wydawał się odważnym i zrezygnowanym, na widok wznośzącej się wstrętnej maszyny, zadrżał silnie i cofnął się w tył; twarz jego pokryła się trupią bladością. Gniewny pomruk rozczarowania przebiegł przez tłum. Pomocnicy kata podbiegli do ślaniającego się więźnia i brutalnym ruchem pociągnęli go pod słup. Wywiązała się krótka, zacięta walka, ale prawie równocześnie rozległ się przytłumiony okrzyk i silny głuchy łoskot spadającego noża.

Sprawiedliwości ludzkiej stało się zadość.

Tego samego dnia jeszcze detektyw Jaime zjawił się w mieszkaniu sędziego Davricourt. Służący wprowadził go do sypialni. Na kanapie przed płonącym ogniem na kominku leżał owinięty w szalu sędzia. Czerę miał żółtą, a oczy jego podkrążone były siną obwódką.

— Czy pan nie chory panie sędzio? — zapytał zaniepokojony detektyw.